

— W bardzo łatwy. Położymy zwłoki naszego kuzyna do trumny ojca.

— Ale jeżeli ta zamiana odkryta zostanie, jesteście zgubieni.

— Nie może być odkryta! Zabijemy trumnę zanim nadejdą ludzie z zakładu pogrzebowego. Rzecz taką łatwo zrobić można. Wspomni się, że zwłoki uległy szybkiemu rozkładowi.

— Ale co zrobimy z tamtymi zwłokami.

— Wrzucimy je do Sekwany.

— Ale czy pomyślałeś nad tem, że woda je wyrzucić może tego samego dnia jeszcze?

— No więc cóż z tego? Ponieważ niki wiedzieć nie będzie kto to jest, zwłoki pogrzebane zostaną i cała rzecz będzie załatwiona.

— Czy jesteś pewny, że nie będziemy mieć z tego powodu dochodzeń?

— Naiwny jesteś! Komuż przyjdzie na myśl, że to wuj nasz?

— Pomysł ten jest wcale dobry — odezwał się z uznaniem, milczący dotąd służący.

— A więc bierzmy się do roboty! — zawołał brań młodszego, podniecony temi słowami — Chciałbym, żeby już było po wszystkim.

Paskal, na rozkaz otrzymany, udał się zaraz do gabinetu, skąd wydobył ciało młodego człowieka i złożył je na podłodze w sypialnym pokoju, lecz kiedy przystąpił do zwłok starca, szmer jakiś dobiegł z ogrodu i zwrócił uwagę w tamtą stronę.

— Tam ktoś jest? — szepnął jeden z morderców, patrząc z przerażeniem w okno.

Służący odszedł od łóżka, ostrożnie uchylił firankę i przez chwilę bacznie spoglądał w ogród.

— To nic! — rzekł spokojnie — To liście szeleszczą na drzewach.

— Czy jesteś pewny, że siostrzenica twoja śpi w swoim pokoju?

— Nie miałem dziś czasu zajmować się nią, ale wiem, że o tej porze śpi głęboko. Nie tracmy czasu na takie dzieciństwa — dodał służący, przystępując z powrotem do łóżka.

Po upływie dwudziestu minut wszystko było gotowe.

Zwłoki młodego człowieka leżały w trumnie zamkniętej, ciało zaś starego hrabiego przebrane w inne suknie dla zmylenia pozorów, służący uniósł boczną furką do oczekującego powozu.

Na prawej ręce trupa błyszczał wspaniały pierścień olbrzymiej wartości. Nie zdjęto go aby w razie znalezienia ciała podsunąć można myśl samobójstwa ofiary. Służący jednak przysięgł sobie w duchu ściągnąć go z palca, w ukryciu przed braćmi. On to miał polecenie zanieść zwłoki do powozu oczekującego przy bocznej furcie ogrodu.

Czynność ta wykonana została ostrożnie, bez użycia światła, aby nie ściągnąć niczyjej uwagi.

Ogród zresztą pogrążony był w ciszy. Jednak, kiedy ponury ten orszak skręcał w wąską, zacienioną ścieżkę, zdawało się braciom, postępującym za służącym, że ujrzeni cię jakiś, przesuwał się szybko pomiędzy drzewami. Ale ponieważ widzenie to nie powtórzyło się i że księżyc, pokryty chmurami, co chwila wywoływał ciągle fantastyczne zmiany światła, szli dalej w przekonaniu, że ulegli pomyłce.

A przecież nie była to pomyłka.

Za klombem gęsto rozrośniętych drzew stała młoda dziewczyna, dziecko prawie, odrętwiała z przerażenia i zgrozy. Z trudnością wstrzymywała okrzyk, rozziewający jej piersi, lecz instynkt jakiś nieokreślony nakazywał jej milczenie w obronie własnego bezpieczeństwa.

Była to siostrzenica służącego Paskala.

Wiedziała, że w willi znajdują się zwłoki starego hrabiego. Wieczorem, pozostawiona sama, bez opieki i światła, ogarnięta głuchym lękiem, wybiegła z pokoju, gdzie przebywała dzień cały i udała się do ogrodu. Dłuższy czas błądziła po ścieżkach parku, spoglądając niecierpliwie w okno swojego pokoju w oczekiwaniu, że przecież wuj jej nadejdzie ze światłem.

Około godziny wpół do dziesiątej posłyszala ciężkie kroki kilku ludzi. Dobiegł ją zmieszany szepł głosów, pośród których rozróżniła głos wuja i lęk jej spotęgował się jeszcze na myśl, że zastać ją może o tak spóźnionej godzinie w parku, kiedy oddawna powinna już była spoczywać w łóżku.

Ukryła się więc za drzewa, trzęsąc się nerwowo, obezwładniona widokiem, jaki nagle uderzył jej oczy.

Wąską ścieżką, wśród drzew, szedł Paskal niosąc ciężar jakiś, który wkrótce rozeznać już

dobrze mogła. Było to ciało człowieka, zwisające ramionami ku ziemi; za ciałem tem postępowali dwaj mężczyźni, siostrzeńcy zmarłego hrabiego.

Młoda dziewczyna, oszalała z przerażenia, patrzyła chwilę rozszerzonymi oczami, poczem osłabiona wzruszeniem, opadła bez przytomności na trawnik.

Tymczasem żałobny pochód oddalił się już. Mężczyźni wraz ze zwłokami wsiedli do powozu, który szybko ruszył ku lewym brzegom Sekwany.

Była już prawie północ, kiedy powóz zatrzymał się nareszcie. Paskal, który sam kierował końmi, zeskoczył z siedzenia i oddalił się trochę, bacznie rozglądając się w okół, w końcu zeszedł po kamiennych stopniach aż na sam brzeg rzeki. Kilka łódek kołysało się na wodzie. Przywiązane one były krótkimi łańcuchami do słupów, sterczących nad powierzchnią wody, ale w żadnej z nich nie było nikogo.

Paskal powrócił więc natychmiast do powozu, mówiąc do czekających towarzyszy:

— Pora sposobna, wybrzeże całkiem puste, nie dojrzałem nigdzie żywej duszy... Musimy się spieszyć, aby nam kto nie przeszkodził.

Ale w tej samej chwili krok przyspieszony rozległ się niedaleko nich.

— Ktoś nadchodzi — szepnął jeden z braci.

— Nie tracmy przytomności — rzucił zimno służący i skoczył szybko odpiąć pas od dyszla powozu.

Nadchodzący był rybakiem, który po spóźnionej pracy powracał do swojego domu.

— Wydarzył się wam wypadek? — zapytał przystając.

— Oh, nic wielkiego! — odpowiedział Paskal. — Pas się mi odpiął tylko.

— Może wam pomóż?

— Niema czego. Już go zapiąłem na nowo.

Rybak oddalił się, nie podejrzewając nic złego. Mordercy odechnęli z ulgą i jak tylko zamilkli odgłos jego kroków, pobiegli do powozu, wydobyli ukryte w nim zwłoki i unieśli je pospiesznie ku Sekwanie.

Brzeg był dosyć niski. Zsunęli ostrożnie ciało pomiędzy dwie łódki i wkrótce ciemne fale pochłonięły je bez śladu. Ostatnia scena tragicznego dramatu została szczęśliwie rozegrana.

W parę minut później powóz, unoszący morderców i ich współnika, toczył się szybko brzegiem rzeki ku miastu. Wszystkie ostrożności zostały zachowane. Postanowili dla zmylenia pozorów nie wracać tą samą drogą, tylko dojechawszy do mostu w Charenton, przedostali się na drugie wybrzeże i przez Bercy, Tournelle, przedmieście Saint-Marceau powrócili do willi główną, wjazdową bramą przez park. Nikt nie odkrył tej tajemnicy nocnej wycieczki, nikt nie domyślił się jej celu, prócz młodej dziewczyny, siostrzenicy służącego Paskala.

Wkrótce po zniknięciu morderców, chłód nocy przywrócił jej przytomność umysłu i kiedy przypomniła sobie wszystko, lęk i zgroza objęły ją znowu z taką siłą, iż długą chwilę leżała na wilgotnej trawie, nie mogąc się poruszyć. Ale niedługo myśl, że mogą ją tu zastać i domyśleć się, że była świadkiem tej okropnej, tajemniczej sceny, otrzeźwiła ją zupełnie. Powstała, chcąc uciec z ogrodu i znaleźć się jak najprędzej w swoim pokoju, gdzie czułaby się bezpieczniejszą, kiedy nagle dostrzegła coś błyszczącego na ziemi. Chwilę namyślała się, nie będąc pewną, co to być może, ale w końcu, przyciągnięta tym świecącym przedmiotem, pochyliła się szybko wyciągając rękę.

Był to wspaniały, szeroki pierścień złoty, z brylantem rzucającym oślepiające błyski.

Zesunął się on z palca ofiary, wlezionej przez Paskala po ogrodzie i niedostrzeżony przez niego wpadł w trawę, dosyć wysoką w tem miejscu.

Mała olśniona i zachwycona zgubą, nie zastanawiając się długo, ukryła go prędko w kieszeni i pobiegła przez ogród ku willi.

Kiedy po upływie pół godziny Paskal wszedł ze świecą do jej pokoiku, nie przebudziła się na jego wejście i odwrócona ku ścianie spoczywała snem głębokim.

Nazajutrz nie wspomniła nikomu o znalezionym pierścieniu w obawie, aby ją nie zmuszono do wyjaśnienia, w jaki sposób i gdzie go znalazła i zaprzysięgła sobie tragiczne widzenie tej nocy zachować w głębokiej tajemnicy.

Trzeciego dnia w dziennikach porannych można było wyczytać następującą notatkę:

„Parę dni temu, człowiek trzydziesto-kilkuletni zjechał do jednego z hoteli przy ulicy św. Jakóba. Tego samego dnia wieczorem, pomimo silnej, szalejącej burzy i przestrogi właściciela hotelu wyszedł, mówiąc, że powróci nad ranem. Miał podobno jakąś ważną rodzinną sprawę do załatwienia. Dotąd człowiek ten nie pojawił się w hotelu.

Właściciel, zaniepokojony długą nieobecnością gościa, czynił bezskuteczne poszukiwania za nim, kiedy dzisiaj rano doniesiono mu o znalezieniu zwłok; wydobytych z Sekwany koło skweru Oesvres. Udał się więc natychmiast do morgi, lecz tam skonstatował, że nie są to zwłoki jego lokatora, człowieka młodego jeszcze, lecz starca blisko siedemdziesięcioletniego.

Podwójna więc tajemnica, którą trudno będzie rozświecić, otacza ciało wydobyte z Sekwany i nagle zniknięcie podróżnego z hotelu Świętego Jakóba.

### Nocny gość.

Na rogu ulicy de la Harpe i ulicy Serpente wznosił się dom kilku-piętrowy, o zniszczonym i niesympatycznym wyglądzie. Zwrócony on był ku północy i słońce nie zaglądało tu nigdy, aby choć trochę rozjaśnić szare, brudne mury, parujące wilgocią.

Przez główną bramę, wąską i wysoką, wchodziło się do sieni, długiej i ciemnej zawsze.

Przy końcu tej sieni, po prawej stronie, wchodziło tylne wejście do restauracji trzeciorzędnej, po lewej zaś stronie, ciągnęły się kamienne schody, prowadzące na wyższe piętra, w których mieściły się pokoje umeblowane.

Im wyżej wychodziło się na piętra, tem pokoje znajdujące się tam, stawały się bardziej opustoszałe i nędzniejsze. Były one natomiast widniejsze cokolwiek.

Pod samym strychem umieszczone były dwie mansardy łączące się z sobą i tworzące szczupłe, bardzo skromne mieszkanie bez mebli i bez przestrzeni. Powietrze i światło, nie kępowane sąsiednimi domami, wpadało tu w dostatecznej obfitości.

W pierwszej mansardzie stało tylko łóżko i dwa krzesła. Łóżko było drewniane i niegdyś na biały kolor pomalowane, dziś zszarzałe i miejscami wyżarte zupełnie. Leżał na niem siennik z resztkami wygniecionej, posiekanej jak trociny słomy, przykryty cienkim, twardym materacem, za wielkim na to łóżko i opadającym melancholijnie po bokach prawie aż do ziemi. Na wszystko to zarzucona była kołdra ciemna i poszlukowana kawałkami materii rozmaitego koloru. Stółki, a właściwie fotele, pokryte były, jeden aksamitem niebieskim, drugi czerwonym aksamitem, z których pozostały tylko brudne, wymięte strzepy.

Z drugiej mansardy, lokator urządził sobie gabinet do pracy.

Znajdował się tam stół okrągły, nad którym wisiały pulki z książkami, stółek założony papierami i zeszytami i wytarty zrudziaty fotel skórzany.

W chwili, w której zaczyna się niniejsze opowiadanie, pokój ten, do którego wpadają promienie księżyca przez niewielkie okienko, ma dosyć sympatyczny wygląd, pomimo nędzy i pusiki, więcej z każdego kąta.

Przy stole, z czołem pochylonym nad grubą książką, siedzi młody człowiek, w postawie zdradzającej silne napięcie umysłu.

Ma lat dwadzieścia pięć, chociaż wygląda o kilka lat starzej. Twarz jego blade, o regularnych rysach, jaśnieje głębokim wyrazem inteligencji i skupienia. Czoło wysokie, okolone jest falą gęstych, czarnych włosów, zaczesanych w tył niedbale, spadających aż na szyję.

W ciemnych oczach pali się gorący płomień ciekawości i marzycielska. Wydatne usta i nos zarysowany energicznie, o niespokojnych, poruszających się usiawicznie nozdrzach, świadczy o bujnej namiętnej naturze, dręczonej ambitnymi pragnieniami. Już od kilku godzin zajęty jest pracą absorbującą go tak silnie. Pochyla się coraz niżej nad książką rozłożoną na stole, nerwowo przeciera ręką zmęczone oczy, błędzące już z trudnością po drobno zadrukowanych karikach.

Nagle gwałtownym ruchem uniósł i odsunął książkę od siebie. W oczach jego błyszczał ogień gorączkowy. Poczem wstał i szybkimi krokami zaczął przebiegać pokój.

(Ciąg dalszy nastąpi.)